

Ona umiera sama

i ona w tej jesieni
i jesień w niej

pełnia

i taka złota jak jesień
a jesień złota jak ona

drogocенność

otulona złotym powietrzem
łapie oddechem piękno

i życie

i tyle smutku w pięknie
i tyle piękna w smutku

i w śmierci

i ten bal pani Agnieszko
kiepski bal
nie było na nim białego tanga
parkiet się chwiał

a teraz parkiet – mocny lód
jesień-wykidało drzwi zamyka
stop-klatka
taka jedna w ostatnim tańcu

więcej światła

Powrót

jeszcze kłębią się w oczach tamte krajobrazy
rylce wieżowców kaleczące błękit
pajęczyny autostrad
ogrody łaszące się do wolnej miłości
wykrochmalone uśmiechy nawet w ulicznych
korkach

wszędobylski luz

jeszcze gnieźdzą się w uszach tamte słowa
okay fine great
jednak uwiera nigdy nieoswojona obcość
i nadciąga ze wschodu
miękki wiatr

jak dobrze
że nie zdradzają nas powroty
myśli taka jedna

jej Itaka podchodzi do gardła
mąci oddech

pocięli ją niedbale chirurdzy w partyjnych
kitlach

taka jedna
będzie zszywać skrawki
poznawaniem

będzie łątać swoim głosem
ojczyźnianą rzecz

Nie tak

taka jedna
nie była jak pierwsza lepsza
za rogiem straconego czasu
śniła o miłości
płomyk oliwnej lampy
którą pożyczyła od panny mądrej
obmywał z mroku jej twarz i stopy
jednak żaden kochanek
nie uchylił dla niej drzwi

może powinna dobijać się seksapilem
albo jak słowik
wabić balsamicznym śpiewem

taka jedna rozbiła oliwną lampę
o pierwszy akord z pieśni Orfeusza
rozbiła sen
o ostatni akord straconego czasu
jej ptak umarł o świcie

taka jedna nie umiała pozbierać
rozbitego snu
ani przywrócić głosu ptaka
taka jedna nie umiała się pozbierać

myślała
że o świcie się tylko śpiewa
że o świcie się nie umiera

Zuzanna Marciniak

szept

pod językiem dogasała cisza
w ciało wrastały obietnice
zagnieżdżone w zmarszczkach kory

w otulinie drzew połykając oddech
dojrzewających pąków
wypuszczaliśmy oszronione
pióra przemilczeń

na horyzoncie tlił się szept
błysk ptaka otwierający sklepienie

kokon

nie zastygaj w drewnianym paciorku
jak figurka z Padwy na półce
zapatrzona w sen pająka
nie czekaj aż mucha znajdzie pajęczynę

szukaj pęknięć w misternym kokonie
fraktali w szczelinie sufitu

wiersz bez tytułu

zatrzymał się na krawędzi dachu jak
najdalej od drabiny
by nie zajmować miejsca innym

potrzebującym
gdy nie podam imienia to tak jakby go nie
było

wiersz bez tytułu staje się bardziej pojemny
pomieści żyjących którym zabrano
tożsamość
i zmarłych pozbawionych grobu

dlatego boję się że do mnie przyjdzie

odruchy

jest poranek dzień pierwszy
nowego tygodnia każdy z nas pcha swój
wózek
najgorzej gdy kółeczka grzęzną w błocie po
wolnym
przerzucaniu z ust do ust ciągów
zdań które nie powinny nigdy wypłynąć

idziemy ulicą
ubrana w podartą zimę kobieta wychodzi
z zaplecza miasta i zbiera rozrzucone
niedopałki
z troską pytamy czy chce drobne

Michał Kaczmarek

Ojciec

zszedłeś z deptaku
w zarośla za ławkami

dzieci w helikopterach na monety
kolejki do lodziarni

miejsce gdzie przekroczyłeś granicę
wracam do pracy
za więcej niż średnią krajową
ostatni dzień
na przegląd techniczny samochodu

i znowu
drzwi do odcinka cieni
między rzędami restauracji

proszę o wstęp
aż otworzy się przede mną
nic
jak coś

trzy litery
skrzydła spółgłosek i korpus samogłoski
staw i księżyc
motyla i ćma
które nigdy się nie spotkają

